



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebora i Spół., kwartal. tal. pr. i
sgr. 20.

Z teki M. Romanowskiego.

II

CZY JA CIĘ KOCHAM.

Czy ja cię kocham?—dziewczę! któż na ziemi
Kochać cię może odemnie goręcej?

Czy ja cię kocham?—ty patrz oczy twemi:

Kto dla cię więcej poświęci,

Kto silniej sercem twe serce obejmie,

Kto głębiej duchem twego pojmie ducha,

Kto pewniej całą w światło cię podejmie,

W twe myśli kto tak się wsłucha?!

Lecz ja nie kocham cię, jak kwiat, jak różę,

Co od promieni słońca k' niebu wonie,

Co ma oblicze koralowe, duże—

Królowa na całe błonie.

Na różę patrzę, woń uśmiechem płacę;

Ale gdy oczy jej krasą nasyce,

Nim pierś się zajmie, serce zakolące—

Odwracam oczy i lice.

Ani jak gwiazdę, kocham cię, jedyna,

Co tam na niebie błyska opalowo,

Ku której sternik swój żagiel rozpina—

A nocy zwie się królową.

Czasem ja wzlecę na lazur bez końca,

Przy złotej gwieździe duch na chwilę zaśnie;

Lecz od promieni wschodzącego słońca,

Gwiazda.. widziałas, jak gaśnie?

Ja ciebie kocham wszystkim, co jest we mnie;
Duch mój, jak anioł, otacza cię wszędzie,
Tchnienie me każde, każda myśl, co ze mnie—
Dla ciebie była, i będzie.

A taka miłość w piersi, w głębi łona,

Przez ciebie samą, i dla samej ciebie...

Ziemię nią kiedyś jak schwycę w ramiona,

Tam ją zawieszę—aż w niebie!

III

DAREMNIĘ.

Pójdę ja brzegiem majowym zdroju,

Pójdę dla serca szukać spokoju,

Niezapominka u brzegu rośnie...

O nigdy—nigdy pokąd tych wód,

Pierś nie przestanie gorąc miłośnie...

O! wróć się, chłopcze—daremny trud!

Pójdę ja w górę, na głuche tonie...

Może tam serce w ciszę zatonie?

—O wróć się, chłopcze! tam świat bez granic,

Nie przemierzona oczyma dał,

Ach! tam tęsknoty nie oprzesz na nic;

Uszną ci piersi—spali cię żal.

Toż pójdę w pole, gdzie łąka, zboże:

Tam smutne serce przeboli może...

—Błady tam błękit—słońce przygrzewa,

Pusty wiatr ciągnie obszarem pól,

I wędną kwiaty, usycha niwa,

O wróć się, chłopcze! nie zgaśnie ból.

Pójdę-ż ja w lasy ciemne i chłodne:
Może tam znajdę chwile swobodne....

— Choć ciemne lasy, choć puszcza dzika,
Lecz tam się błąka lasowy czar,
I szmerem liści, pieśnią słowika,
Powie ci o niej - i wskrzesi żar.

Toż ja powrócę pod moją strzechę:

Tam może sercu znajdę pociechę....

— Ściany twej chaty bielone pięknie,
Lecz tam się znajdziesz—ach! taki sam,

Że ci się z bólu serce rozpełknie,

Oj! biedny chłopcze, nie wracaj tam.

Gdzie ja się z tęsknem sercem obrócę?

Pójdę, na morze, w łodzie się rzucę ...

— Obejdz ty, opłyn ziemie dokoła,

Płyn ciszą—obleć na skrzydłach burz:

Ni żalu z serca, ni dumki z czoła,

Ni jej z pamięci nie zbędziesz już.

KRÓL JAN III-ci SOBIESKI

I JEGO RODZINA

przez

Maryana Dubieckiego.

Nie przeszły dzieje po ziemi pustkowiem,
Ale są w starej szkole zapisane
I w pokolenia pismami podane.

W. Pol.

Na dwóch przeciwległych krańcach dziejów
naszych, oddzielonych olbrzymią przestrzenią sze-

ściusetkilkudziesięciu lat, spotykają się dwie dziwnie popularne, wśród naszego społeczeństwa postacie królów, wodzów i ulubieńców narodu. Bolesław Chrobry przyswiewca jutrzence naszych dziejów; Sobieski, bardziej pod imieniem Jana III znany, stoi wśród dni kończących bojową sławę narodu.

Pamięć potomnych wytworzyła z obu tych imion legendowe postacie. O rycerskim Chrobrym królu do dziś szepeczą nam dziwy usta tatrzańskich górali. Do dziś Król Chrobry w dziedzinie fantazy synów wyżyn tatrzańskich nie umarł, lecz jedno snem chwilowym ujęty, wraz z całym kołem swych rycerskich „wojów“, drzemie wśród skał, przybrawszy na się postać kamienną. Lecz nadejdzie chwila — dodaje legenda — iż prawdziwa potrzeba narodu stanie się dlań słowem zaklęcia: Chrobry się obudzi; pod naciskiem jego potężnych ramion spadnie kamienna powłoka — i głazy znowu się zmieniają na rycerzy.

Również miłośnie pieści pamięć narodu imię Jana III. Sarkano i krzywiono się nań, gdy żył, lecz ów szmer niezadowolonia w wyżyn tylko społecznych snuł się, niby przelotna chmura, co się tknąć nie mogła nizin — podstaw narodu; u tych bowiem, wśród rzeszy szlacheckiej, był Sobieski powszechny, czy z buławą hetmańską, czy z berłem w dłoni, postacią dziwnie przypadającą do serca i usposobień narodu. Nic tej sympatii tem trwalszą była, iż się wysnuwała z powinowactwa usposobień.

Rzesza szlachecka rządziła się przeważnie uczuciem, nader rzadko słuchając głosu rozważań, lub daleko sięgającej rachuby, i ów król, bohater meżny, pogromca Turków, oswobodziciel Wiednia, był również człowiekiem przeważnie uczucia. Miecz jego umiał zginać karki butnych wrogów; ale nie umiał nigdy panować nad własnym sercem. Uniesienia serca górowały w nim nieustannie.

Takie istne wcielenie uczucia przypadało najzupełniej do myśli społeczeństwa: więc gdy wybujała latorośl narodu, przy życiu Sobieskiego, szczyły przeciw niemu niechęć, gmin szlachecki miłośnie o nim gwarzył, zawieszając jego portrety na ścianach swych domostw, mieniąc go pieczołtliwie „Król Sobek“ — i śpiewając o jego chocińskiej potrzebie pieśń pochwalną.

Taka pieczołtliwa nazwa jednemu tylko z królów przypadła w udziale, a płynęła wprost z głębi szczytów, naiwnego uczucia szlacheckiego gminu, który wtedy wcale do najszcześniejszych warstw narodu nie należał. Owszem, były to czasy gdy klęska po klęsce spadała na ubogie zagony tej właśnie szaraczkowej braci, która dla swego ulubieńca wytworzyła pieczołtliwe miano „Króla Sobka“. Nie mówiąc o innych, ale i atmosferyczne przyczyny szczyły głód, nędzę w kraju naszym. Po latach wiedeńskiej potrzeby szły lata nieurodzaju i biedy wyjątkowej. Małej nawet ilości ziarn niepodobna było do gleby rzucić, bo mrozy kwietniowe ścinały murem rolę ubogich zagonów; a gdy nieco mróz zelżał, to znów na święty Wojciech śnieg sypał, lub lała w dniach majowych jesienna ulewa: znikająca przede nawet nadzieja lepszych dni na przyszłość¹⁾ Wymowne świadectwo atmosferycznych klęsk ówczesnych, zawiera się w listach hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego, pisanych do Króla, z obozów zataczanych bądź na Rusi, ponad górnym Dniestrem, bądź na Pokuciu, i w innych okolicach ówczesnej Rzeczypospolitej. „Chleb drogi — pisze hetman do Jana III — siana niemasz nic, wojsko od tygodnia i dalej, konie wypuściło na pole, bo i snopków na chałupach nie stało“.

O tej nędzy, szeroko wtedy grasującej po kraju, mamy słowo nader poważne, zawarte w przysłówiu: „za Króla Sobka, nie było w polu snopka“, głosi ta przypowieść ludowa. Ciężkie te czasy, głodem i morem znaczone, częstą wojenną pożogą świecące, nawet swoją „dmą“ północną nie ostudzały miłości szarych, zagonowych tłumów ku Sobieskiemu. Czuli oni w nim i animusz rycerski, i serce nieustannie pełne żaru młodzieńczego i, wreszcie, to ziemiańskie szlacheckie pochodzenie,

którego pamięć on na tronie zachował, kochając gorąco swych przyjaciół lat dawnych, nie zrywając stosunków z pokrewnymi i powinowatymi rodami, których było wiele, a wszystkie prawie stały na szczeblach mierności szlacheckiej.

Czynna pamięć Króla Jana III obysła listami nawet ubogich krewnych, tak dalekich przestrzemią, jakimi byli odciepi już wtedy od Rzeczypospolitej, przebywający na Zadnieprzu, Mikłaszewscy. A takiej ubogiej miernoty było dużo u Króla, którego ojciec nie z senatorówny jakiejś lub z uministrowanej niewiasty, lecz ze zwykłej szlachcianki, Snopkowskiej, rodził się.

Obyczaj i pojęcia szlacheckie zachował Sobieski na tronie, jak żaden prawie z naszych elekcyjnych królów. Widywano go często w roli miernego ziemianina, przypatrującego się tańcom ludu wiejskiego, podczas wiejskiej uroczystości dożynek, w jego ulubionym Jaworowie, w Ziemi Przemyskiej. Wcielony najzupełniej do pojęcia, poglądów, i wierzeń ziemian ówczesnych na Rusi, „Król Sobek“ otaczał wciąż niemalą obrzędem wschodni zjednoczony, i przed obrazem Bogarodzicy śpiewał, wraz z siermiężną rzeszą ziem południowych Rzeczypospolitej: „Królowo jedności świętej, módl się za nami“. To zespolenie duchowe z szarakami podnosiło stopień miłości owego ludu siermiężnego, a herbowego, chodzącego wprawdzie z szabłą, lecz wielokroć boso, który go miłował całą mocą swych serc prostaczych, zapełniał szeregi jego zbrojnych taborów i najwięcej się przyczynił do uwiecznienia w pamięci narodu tej postaci króla-bohatera.

Legendy mnożąc, otaczające imię Jana III, wytworzył ów lud siermiężny, bosi a herbowi i orężni. W miłującym sercu tego ludu powstały podania o gromach, co towarzyszyły przyjsciu na świat przyszłego gromiciela pogańskiej przemocy; tam powstała i legenda o stole, który pękł, gdy na nim złożono, wnet po urodzeniu, niemowlę, mające z czasem tak szeroko zasłynąć; i inna znowu, o astrologu, co mu przyszłość przepowiedział, i ta, o komecie, oświecającej drogę odsieczy Wiednia, i inna wreszcie o gołębiu, co go witał wracającego z wiedeńskiej potrzeby, i skamieniał, usiadłszy na murach Sukiennic, a dziś go tam niema, bo znowu ożył, w pamiętnej chwili, gdy germański znad Dunaju żołnierz, skalał swą stopą Wawel i poleciał ów kamienny ptak przed tron Najwyższego ze skargą na losy i pamięć, i wdzięczność ludzką. I tak, bez końca i miary wysnuwano nici podania — aż wreszcie cienie bohatera zpod Wiednia, stają dziś przed nami, otoczone blaskiem zwykłej gloryi, w którą go ubrała podniosła miłość szarych, szlacheckich tłumów.

Przeszłość dwuwiekowa, która go od nas oddziela, w oczach narodu zatarła wszelkie usterki, błędy polityka, statysty, a pozostaje jedynie w myśli społecznej obecnych pokoleń, pamięć o pogromcy zpod Chocima, pamięć wiedeńskiej odsieczy, której głównym był sprawcą; pozostaje pamięć o wielkiej miłości ku żonie; pozostaje współczucie dla trosk domowych i publicznych, co mu koniec życia zatrąły.

* * *

Król Jan III zbyt mało nam jest znany ze swego życia domowego, rodzinnego, aczkolwiek życie to spletało się z rysów i sympatycznych i dziwnie charakterystycznych zarazem.

Rycerski ten król, w gronie rodziny roztaczał tak wielką ilość swych serdecznych uczuć, jak gdyby poza ścianami gniazda rodzinnego, nie istniały dlań ani troski i prace publiczne, oziębienie niekiedy płomień uczuć rodzinnych ani gwar życia obozowego, który i myśl rozprasza i serce pancernem obojętności otacza.

Grono rodzinne wiedeńskiego bohatera składało się: z żony, trzech synów, córki jedynaczki i wreszcie, tuż obok nich stali przyjaciele jego od serca, ściśle z nim zjednoczeni w jedną spójnię rodzinną — Marek Mateczyński i hetman wielki koronny, Stanisław Jabłonowski. Wielkie serce bohatera otaczało zawsze jednaką miłością i rodzinie i owych serdecznych przyjaciół lat młodzieńczych; oni wraz z królewietami tworzą jednolitą całość; są radą opieką, pomocą królewietom, gdy król żyć przestał.

Postać owej powszechnie znanej „Marysienki“, z której strony-byśmy jej nie oglądali, zawsze jednak nam się przedstawia. Dużo w niej piękności ciała, dużo dumy, chęci błyszczenia, aby tem światłem złota olśnić oczy ludzi, rzucić na nich urok czegoś tak świetnego, by zapomnieli i o jej dość parweniuszowskim pochodzeniu i o męża ziemiańskiej przeszłości.

Marya Kazimiera Sobieska, z domu margrabianka de la Grange d'Arquien, wychowując się przy boku królowej Maryi Ludwiki od wczesnej młodości, pieszczona przez nią, i od kolebki prawie do samowoli przyuczona, urosła na pyszną kobietę, kochającą przedewszystkiem siebie, szukając jedynie własnego wywyższenia się, bogactw i rozgłosu. Jeszcze była małym dziewczęciem, a już zdumiewała, niedosć urodą, lecz żywocią swą krwi francuzkiej, która tentniła w jej żyłach. Roztaczając niezrównany urok dokola, młodzieńkiem dziewczęciem zdobyła dla siebie serce Sobieskiego, który był wtedy zaledwie chorążym koronnym i nietylko o koronie nie marzył, ale nawet wszelkie szybkie posuwanie się po stopniach dygnitarstw koronnych, nie było jeszcze wtedy do przewidzenia. Marya Kazimiera odpłaciła wprawdzie wzajemnością miłość przyszłego bohatera, ale tę miłość umysł jej umiał trzymać i trzymał na wodzy. Rozrządzała ona swem sercem wedle słusznego natchnienia i kierowała się tu głosem uczucia — oddała więc serce chorążemu koronnemu. Rękę jednak postanowiła oddać temu, którego wskaże jej dostojna opiekunka, małżonka Jana Kazimierza, Marya Ludwika; temu, kto ją, nie kiedyś, w przyszłości, lecz wnet, blaskiem otoczy.

Miłość siebie przekładała ona nad to wielkie uczucie szlachetnego serca, które jej niósł w darze przyszły król, przyszły pogromca ottomańskiej potęgi. Wychodząc z tej zasady, nie gasząc płomienia miłości ku Sobieskiemu, oddała swą rękę starcowi, co mógł ją olśnić bogactwem, rozlać u jej stóp fale złota, a dla jej ukoronowanej opiekunki był znakomitym sprzymierzeńcem, jako potentat władający głosami i wolą szlachty kilku województw. Był nim wojewoda sandomierski — ordynat Zamoyski, wuj rodzony Michała Wiszniowieckiego.

Siedm lat była ona żoną schorzałego starca, dopóki śmierć wojewody nie stargała tych niezwykłych związków, odmykając jej drogę do ślubu z Sobieskim, który nie przestawał kochać, wierzyć w stałość swej ukochanej, czekać na lepsze losy dla swego uczucia i wzrastać w znaczenie, posuwając się po szczeblach dygnitarstw, chociaż przed ożenieniem się jeszcze dość powoli. Doba ożenienia się była dla niego hasłem niejako szybkiego wznoszenia się.

Kobieta ta, statecznie trzymająca na wodzy swe uczucia, oddając rękę Sobieskiemu, nie złożyła dowodu wytrwałej i stałej miłości, lecz jedynie wyrachowania; wiedziała ona, że Polska jest krajem, gdzie łatwo można się wysoko wzniesić; Sobieski zaś, przy swem wojskowym uzdolnieniu, bojowej odwadze i szybko zdobywanej popularności wśród mas szlacheckich, miał wielką przyszłość przed sobą. Iść z nim gościńcem życia — praktyczną było rzeczą i nadzieję świetniejszego jeszcze jutra odmykało. Marya Kazimiera, jako prawdziwa racjonalistka, nie wahała się teraz oddać swej ręki Sobieskiemu. Była to chwila w jej życiu zupełnej równowagi; uczucie z sercem szło w parze. Takie chwile rzadko się zdarzały owej kobiecie o burzliwej krwi, lecz lodowem sercu.

Miłość Sobieskiego płomienna, wulkaniczna, niezwykła, bo również silna i poetyczna, podczas jutrzeki i jego młodości, jak i przy schyłku życia, nie zdołała ogrzać tego lodowatego serca; samolubnem ono zostało do końca jej dni.

Król Jan, zwycięzki w tak wielkiej ilości bojów, był niewolnikiem ciągłym swego uczucia; ourzymywał za nie w darze: kaprysy, groźby, gniewne słowo, upór niewieści, ciągły wpływ na sprawy krajowe, natarczywe wdzieranie się do dziedziny polityki i gospodarzenia w niej samowolne, pod hasłem swych spraw i widoków osobistych. To gospodarzenie narażało na zupełne obalenie majestatu władzy królewskiej. Król Jan to widział, doskonale rozumiał, wszakże zapobiedz nie umiał, nie mógł; brakło mu sił do walki z niewiastą, któ-

1) Ambroży Grabowski: *Star. Pol.* t. II.

ra wciąż statecznie ubóstwia miłością pełną exaltacji. W chwilach prób cięższych zwykł on się być pocieszać myślą, zdaniem, zacierpniętymi z poetów lub myślicieli starożytnych, czy też z dziedziny naszego piśmiennictwa. Czytywał dużo i nieraz wśród trosk domowych, które ciżbą całą go oblegały, kazał sobie całą noc czytywać. X. Vota, tajemny agent Cesarzów Niemieckich, chcąc zaskarbić łaskę królewską, i wcisnąć się do poufnych stosunków, niejedną noc bezsennością strawił w królewskiej antykamerze, czekając ażali nie powołają go na lektora do sypialni króla.

Jednego wszakże uśmiechu żony, którą zawsze najczulszemi imionami nazywał, dość było, aby zmieść z czoła Króla Jana troskę. Obfity w wiadomości umysł królewski, znajdował łącznie dla siebie w tej lub innej sentencji, zdaniu, wierszu i pociechę i usprawiedliwienie, że się nie stawiało tam nadużyciom, poniewieraniu władzy królewskiej, z powodu gospodarzenia królowej „Marysienki“ w dziedzinie polityki. Doszło wreszcie do tego, że sprawy krajowe stawały się przedmiotem zakulisowego kupczenia dworskich pań królowej Maryi Kazimiery. Dwie czy też trzy Francuzki: Faidherbe, d'Estreux, a również i X. Vota wraz z Albertim, rezydentem weneckim, tworzyli klikę rządzącą, rozdającą urzędy, kierującą sprawami najżywniejszemi Rzeczypospolitej.

Było to tak w lat dziesięć po wyprawie wiedeńskiej. Jan III starzejący się, często udawał, że nie widzi jak własna jego słabość ku żonie, podkopuje, i spokój domowy, i dobro kraju, i nadzieje ustalenia pomyślności świetniejszej dla synów. Udając spokojnego, powtarzał Król Jan dwuwiersz Kochanowskiego, który w innych czasach widziemy również w jego ustach:

Nie źle czasem zamilczeć, co człowieka boli,
By nie rzekł nieprzyjaciel, że cię mam powoli.

(Dalszy ciąg nastąpi)

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

Powóz zniknął na spadku wzgórek; dziewczyna wróciła do siebie, siadła przy biurku i pisać zaczęła:

Droga Fanny!

„Pytasz się o tutejszych ludzi... Są oni sympatyczni i łagodni, lecz pewno dlatego i słabi. Nie umieją, czy nie mają odwagi, nazwać rzeczy po imieniu, i z tego powodu postępowanie ich chwiejne. Są egoistami tak dobrymi jak i my, a mimo to, lubią z pewną nawet namietnością drapować się w poświęcenie, lub - nie uwierzysz - w męczeństwo, jeżeli robią, co u nas uchodzi za rzecz zwykłą, jest prostem spełnieniem obowiązków względem nas samych i naszego społeczeństwa.

„Jeżeli, na przykład, panna wychodzi za mąż, za człowieka starszego od siebie, brzydkiego, szorstkiego a bogatego, nigdy nie powie, jakby to każda z nas powiedziała, że robi partya w celach materialnych, lecz z pewną lubością wyszukuje poświęceń... Poświęca się dla ojca, matki, brata, chociaż ci tego nie potrzebują; jest ofiarą ich terroryzmu, prośb i lez narzeczonego, chociaż ten nie płacze.

„Tożsamo dzieje się w sprawach społecznych.

„Kraj ten, jak wiesz, był bardzo nieszczęśliwy. W nieszczęściach dużo się cierpi i poświęca. Stan podobny przy długim trwaniu zmienia się w chrońniczy i, chociaż często brak powodów do poświęceń, przy charakterze, którego podstawą jest sentymentalizm, poświęcają się, lubią się poświęcać; przykro im, gdy się nie mogą poświęcać. Nie myśl jednak, aby na usposobieniu do poświęceń korzy-

stało wiele społeczeństwo lub instytucje. Nie wiele tu zrobiono, i dużo, bardzo dużo, jest do zrobienia.

„Kobiety nie mają tu praw żadnych do emancypacji, jaką wy posiadacie. a mimo to panują i rządzą. Wpływ ich w społeczeństwie stanowczy. Robią co chcą - niestety mało chcą - i dlatego mało się robi. Lubią się bawić, sztukę i literaturę traktują jako rozrywkę; a że są wyroczniami, sztuka i literatura nieszczególnie ma w nich opiekunki.

„Polityki w jej codziennych sprawach nie znoszą, chociaż są dumne ze swej narodowości i kochają swój kraj. Posiadają przytem pewien wdzięk, raczej czar, którym ujmują sobie wszystkich.

„Wykwintne w obejściu, dystygnowane w układzie, dumne i wyniosłe, w rozmowie łatwe i często dowcipne, chociaż pełne powagi nieznośnej, żadnych alluzji - i gdyby nie sentymentalizm, pociąg do marzeń, lenistwo i zajmowanie się specjalnie drobnostkami, mogłyby stanowczy wpływ wywierać na losy swego kraju.

„My, córki Ewy, wszystkie jesteśmy podobne do siebie, tylko, że u nas w Ameryce więcej jest namietności, różnicy w charakterach, a ztąd i rozlicznych kierunków zajęć. My lubimy do wszystkiego się mieszać, a rade-byśmy wszystkim rządzić. I przyznaj, że posiadamy wytrwałość, Tu jest zadziwiające podobieństwo, raczej nudna jednodystajność - jedna skala pragnień. Dlatego to moja gorączka czynu rozbija się. Nie mam współzawodnictwa, lecz nie mam i stronniczek.

„Siostra moja stryjeczna, o której ci pisałam, ma wszystkie przymioty i wady Polek. Piękna jest, ujmująca wdziękami, słodyczą i łagodnością, lecz słaba... Wyobraź sobie: uratowałam ją od grożącego jej niebezpieczeństwa znarnowania życia; a że ją kocham, jestem z tego dumna i troszkę szczęśliwa.

„O mężczyznach nateraz powiem ci tylko tyle, że są oni po części niewolnikami, a zarazem i tyranami kobiet.

„Poznałam jednego... O tym jednym i o wielu innych napiszę ci później. Czekam od ciebie długiego listu. Serdecznie cię ściskam.

Twoja Stanisława.

„Kuzynowi memu pamiętaj w mem imieniu serdecznie uściskać rękę“.

List ten napisała szybko, jak mógła, od jednego zamachu. Słychać było tylko skrzyp stalowego pióra o papier.

Czytając go przed zapieczętowaniem, uśmiechała się. Przy ostatnim ustępie „pознаłam jedne go“, różowy obłoczek przemknął po jej opalonej nieco twarzy. Przeszła się uśmiechać, spowężniała, oczy utkwione w biały papier patrzyły nieruchomie, zdradzając, że myśl błąka się w przestworach, lub ciężko pracuje.

XV.

Nazajutrz rano Amerykanka przyjechała do Żurawna wolantem, powożąc się sama. Namówiwszy Jadwigę na przejażdżkę, wyruszyły razem w góry okryte bukowymi lasami.

Świeże, chłodne powietrze letniego ranka orzeźwiło je. Obfita rosa, perląc się na trawach, uginała je swym ciężarem. Wschodni wiatr poruszał liśćmi drzew; słońce małe, podobne do białej kuli, płynęło po niebieskich lazurach, bez chmurki, a nawet żadnej skazy na niebie. Mimo słońca, lazurów i pogody, było chłodno i smutno. Ziemia ogołocoła ze zbóż, a przyroda - z uroków wiosny, zadumały się nad przyszlnością swą w jesieni i zimie. Czy i umysły siostrz nastroszyły się do smutku w przyrodzie? bo również zamysłone milezały.

Stanisława rzuciła ciekawe spojrzenie na zamkniętą w sobie Jadwigę. I chociaż miała wielką ochotę pytać się jej o wypadki dnia wczorajszego - milezała.

— Może żałuje swego bohaterstwa i ma żal do mnie, że ją zterroryzowała i narzuciła jej rolę, której odegrać nie miała ochoty.

— Tyle mamy do mówienia, a mimo to milczymy - pierwsza odezwała się Jadwiga.

— Nie chciałam gwałtem otwierać twego serca i zmuszać cię do wyznania.

— A ja sądziłam, że dlatego nie zadajesz mi pytań, iż się wszystkiego domyślasz.

— Boję się, abys mi nie zrobiła niespodzianki - odparła Stasia.

— Wszystko się odbyło stosownie do ułożonego programmatu. Porucznik dostał odprawę, podług wszelkich reguł.

— Cóż twoi rodzice?

— Dał słowo officerskie, że będzie milczał. I słowa dotrzymał.

— Więc jesteś uwolnioną od wymówek matki i żalów ojca i nie pojmuję, dlaczego jesteś smutną.

— Boję się przyszłości.

— Ty?

— Ojciec niewiele zajmuje się rolnictwem, mama nie lubi gospodarstwa, Gucio dużo potrzebuje. Znasz mnie: nie jestem zdolną do pracy, radzić sobie nie umiem, nie znam życia z praktycznej strony. Tak mnie już wychowano.

— Nie myślisz iść za mąż? - przerwała jej Amerykanka zdziwiona.

— W tem stanowisku, w jakim się znajduję, i w naszych stosunkach pannom bez posagów bardzo ciężko wyjść zamąż.

— Bo nie chcecie szukać.

— Być może, że nie umiemy - dodała cicho Jadwiga.

— Nie umiecie - prawda! Nie macie odwagi oddać ręki ludziom, którzy mają przyszłość. Zwykle oddajecie się tym, którzy schodzą ze szczytów, tym, którzy przyszli do gotowego, a nienauczeni pracy, często marnują to, co mają. I zamiast odradzać się i wzbogacać - upadacie i ubożejecie.

— Mówisz, jak professor z katedry - rzekła z uśmiechem Jadwiga. - Przy tobie nabieram odwagi, energii. Czuję, żeś mnie wybawiła od wielkiego nieszczęścia.

Konie szły stępą. - Amerykanka objęła siostrę w pół i przycisnęła.

— Wierzę, że mógłabyś, wiem, żeś ci zrobiła krzywdę, zabierając mimowolnie połowę posagu, i dlatego tem większy mam obowiązek bronić cię. Nie zginiemy, moja Jadziu, i damy sobie radę, czy pójdziemy za mąż, czy nie.

Jadwiga uścisnęła ją za rękę.

— Mówisz o krzywdzie, gdy tymczasem ile się razy spojrzę na ciebie, wstyd oblewa mi twarz rumieńcem. Wasza połowa - dodała cicho - nie jest połową Żurawna.

— Ale też praktyczność nasza i umiejętność nie jest waszą praktycznością.

Jadwiga, nie przekonana, smutnie potrzęsała głową.

— Naucz mnie tajemnicy pracy i radzenia samej sobie - rzekła z mocą: a wlejesz we mnie energią i wiarę w siebie.

— Nauczę! Dziś, po zwycięztwie nad sobą, stajesz mi się droższą. Zaciągnęłam względem ciebie dług i spłacić go muszę.

— To ja u ciebie....

Rozśmiały się obie wesoło i serdecznie.

Wolancik, którym jechały, wtoczył się na drogę wioski, wśród chat i zabudowań wiejskich. Konie szły stępą - dzieci w koszulkach cisnęły się do powoziku, witając okrzykami Stanisławę.

— One cię znają? - pytała zdziwiona Jadwiga.

— Wybornie. - Przychodzą do mnie w Niedzielę, gdy jestem w domu; bawimy się razem. Otóż mamy sposobność do pracy niezależnej od wpływu twych rodziców, nie wchodząc w ich attribucje. Patrzaj: te dzieci na pół nagie, wyglądają jak dzikie, obrażają nasz wstyd, nasze szlachetne instynkta, naszą narodową ambicyą, pomijając wpływ na ich stan zdrowia i względy na ich prawa do cywilizacji.

— Lecz cóż my na to poradzimy?

— Nie łatwiejszego: ubierajmy dzieci rodziców najbiedniejszych, bogatsi, pobudzeni ambicyą, będą ubierać swoje. Środków ja dostarczę ze swego majątku. Szyć pewno umiesz?

— Umiałam kiedyś.

— Przypomnisz sobie. Mam u siebie maszynę i umiem się z nią obchodzić. Jutro pojedziemy do miasta po sprawunki. Każę sobie podać listę dzieci najbiedniejszych rodziców - i do dzieła!

— Jak ci to wszystko łatwo idzie! Każda twoja myśl w tej chwili, gdy zechcesz, przyobleka się w czyn, gdy moje projekta spotyka ostra krytyka

lekkie lecz dotkliwe szyderstwo, uśmiech niedowierzania.... I cóż dziwnego, że ręce mi opadają?

— Ja jestem szczęśliwsza—zawołała Stasia.— Jadąc pierwszy raz do Żurawna, postanowiłam ubierać dzieci swej gminy. Pocziwy mój ojciec, już mi to trzy razy przypominał. Powiem ci prawdę: czekałam na ciebie, i dziś, gdy jesteście wolne, gdy od nas porucznik jako sęp odleciał, możemy zabrać się do pracy.

— Stasiu, ty jesteś bardzo dobra i szlachetna.

— Ależ ja tylko jestem wesoła i ruchliwa! Zaczniemy od rzeczy drobiazgowych, później będziemy podejmować sprawy większe, — szukać i gromadzić obok siebie ludzi, aż zapanujemy nad umysłami. Tylko wytrwałości!

— Moje marzenia tak wysoko nie odważają się wlatywać. A co do ludzi, to wątpię...

— Zdaje mi się, że mam jednego.

Na twarz Jadwigi buchnęły płomienie i w tej chwili zgasły. Bała się westchnąć, bała spojrzeć, bała się przemówić, aby jej głos nie drżał. Nie umiała sobie zdać sprawy ze stanu swej duszy i serca, przypisując wrażliwość rozdrażnionym nerwom i obrażonej ambicji.

— I nie jesteś ciekawą: kto to taki? — rzuciła pytanie po chwili milczenia Stasia.

— Domyślam się — odpowiedziała, jak mogła najspokojniej, — jest to nasz sąsiad dzierżawca i muzyk. Niestety, człowiek za małych środków, aby jego pomoc...

— Ależ tylko ludzie małych środków są chętni do pracy, mają wytrwałość, energią i wszelkich rzeczy zdolni są dokonać!

Zamilkły. Amerykanka zacięła konie, Jadwiga zatulona w pled, milczała z rozkoszą. W tej chwili potrzebowała szumu wiatru, turkotu kół, odgłosu kopyt koni, pragnęła patrzeć w przestrzeń i nie myśleć o niczem, a raczej, w tajemnicy przed samą sobą, zdusić rwące się do życia uczucia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAROSŁAW VRCHLICKI

I JEGO NAJNOWSZY¹⁾ ZBIOREK POEZJI

„CO ŻYCIE DAŁO“

skreślił

Zenon Przesmycki.

...Oczyszczony, odmieniony laty,
Wróci znowu poeta natchnieniem bogaty
I wielki wstąpi w dawne dziedzictwo swej sławy.
(Epilog ze zbioru: *Co życie dało*)

I.

Bywają chwile, gdy społeczeństwo, jakby znuzone wieczną powszednością życia, zwraca się do świata idealnego — i tem pragnieniem swoim wywołuje niezwykły, potężny rozwój poezji. Pojawiają się wtedy całe plejady genialnych poetów, których współcześni ubóstwiają nieledwie, a którzy wzbogacają duchową skarbnicę narodu częstokami ducha swego, w potocznym języku nazywanymi zazwyczaj arcydziełami poezji. Pomalu zapal słabnie, trzeźwa rzeczywistość bierze górę; ale spuścizna duchowa po geniuszach narodu pozostaje na wieki skarbnicą, z której społeczeństwo długo czerpać będzie uszlachetniające idee i pojęcia. Taką skarbnicą zostały dla nas utwory poetów Zygmunta Okresu, z Kochanowskim

1) Gdy pisałem studium niniejsze, był to rzeczywiście najnowszy zbiorek poezji Vrchlickiego. Dziś mamy już dwa po nim następujące: „Stare Zwiasty” i „Sfinx”. Pomimo to, szkic mój nie traci na tem przedawnieniu, gdyż zbiorok: „Co życie dało”, będąc — jak to niżej wykazujemy — niejako encyklopedją twórczości poetyckiej Vrchlickiego, daje nam doskonałą podstawę do scharakteryzowania całej działalności jego na polu poezji i przedstawia nam jasno wszystkie jej rodzaje.

(Przyp. Aut.).

na czele, i działalność całej Mickiewiczowskiej Plejady. Dodać przecież należy, iż takie epoki twórcze nie zjawiają się niespodzianie, lecz są wynikiem pragnień i potrzeb długo przed tem nurtujących w narodzie. Zwykle następują one po okresach trzeźwego, utylitarne go, pozbawionego wszelkich ideałów, życia społeczeństwa, i czem zimniejszy, pozytywniejszy jest ten poprzedni okres, z tem większą gwałtownością wybucha potem pragnienie ideałów, mające właśnie za skutek wspaniały rozwój poezji.

Takiem tylko rozumowaniem objaśnić można nagły a zdumiewający swą siłą rozwój poezji czeskiej. W pierwszych okresach politycznego życia Czech, aż do XVI wieku włącznie, poezja czeska (mówię tu, ma się rozumieć, nie o poezji ludowej) nie wydała nic, coby mogło być przepowiednią dzisiejszej jej potęgi. Od nieszczęsnej Bitwy Białogórskiej (1620 r.) Naród Czeski węgował tylko i duchowe życie zamarło w nim zupełnie; o literaturze wogóle, a więc i o poezji, nikt nie myślał. Letarg ten, w którym naród zapomniał zgoła o swej samodzielności i swobodzie, ciągnął się blisko dwa wieki. Dopiero wstąpienie na tron Józefa II i jego centralizacyjno-germanizatorskie zamiary, jak każda gwałtowniejsza repressya, wywołały reakcją w narodzie i zbudziły go do życia politycznego i duchowego. Pod koniec XVIII wieku znakomici historycy i filolodzy pracami swymi przygotowali grunt dla patryotyczno-panslawistycznej szkoły poezji, której koryfeuszami byli Kollar i Czelakowski, i która panowała od r. 1820 aż do 1848.

W połowie bieżącego stulecia uformowała się w Czechach nowa szkoła poetycka z kierunkiem wprost przeciwnym dawnej szkole patryotyczno-panslawistycznej. Na powstanie jej złożyły się dwie przyczyny: reakcja rządowa po rozruchach roku 1848—49 i przesadzony sentymentalizm, w który wpadli byli patryoci przez apoteozowanie miłości ojczyzny (co — ma się rozumieć — w słowach jest bardzo łatwe), a który zaczął wreszcie budzić niesmak u publiczności. Przytem nowe pokolenie poetów zrozumiało, że poezja winna być niezależną, że nie może być li tylko środkiem dla osiągnięcia pewnych celów społecznych, lecz że winna wypełnić swą rolę jako poezja, winna wzbogacić treść swoją ideami ogólnoludzkimi i stać się swobodnym, niezależnym od tendencji, wyrazem osobistości. Zrobiła zatem ona olbrzymi krok naprzód i, pomimo zarzutów kosmopolityzmu, braku poczucia narodowego — naszym zdaniem zupełnie niesłusznych — jakie jej robią krytycy, tak czescy (p. Krasnohorska), jak i (p. Pypin), zaprzeczyc się nie da, że doprowadziła ona poezją czeską do zenitu świetności i sławy.

II.

Najmłodszym, a zarazem najgenialniejszym i najplodniejszym z poetów tej nowej szkoły jest Bohusz Frieda, znany ogólnie pod pseudonimem Jarosława Vrchlickiego, pierwszy dziś bez zaprzeczenia wieszcz w całej Słowiańszczyźnie. Urodził się on w r. 1853. Od czwartego roku życia wychowywał się u wuja swego, proboszcza wiejskiego. W dziesiątym roku pisał już tragedye, a w siedm lat później utwory jego poraz pierwszy ukazały się w druku. Skończywszy gimnazjum, wstąpił do seminarium, lecz wkrótce, dla słabego zdrowia, porzucił je; studiował potem filozofią i historią i, przyjąwszy miejsce guwenera w pewnej znakomitej rodzinie, przebył z nią rok (1875—1876) we Włoszech. Powróciwszy do Pragi, był czas jakiś nauczycielem, potem zaś wybrano go na sekretarza prazkiej szkoły politechnicznej. W ostatnich czasach ożenił się i w roku zeszłym wraz z żoną odbył podróż do Paryża, gdzie odwiedził Wiktora Hugo, Bohdana Zaleskiego — i nader serdecznie przyjęty został przez kolonię polską w tem mieście.

Vrchlicki jest jeszcze stosunkowo bardzo młody i ma przed sobą prawdopodobieństwo długiego życia i rozwoju. Z tem większym też podziwem spoglądamy na rezultaty dotychczasowej jego działalności. Dziś już doszedł on tam, gdzie ge-

nialni poeci kończą — i gdyby dziś zagasła jego twórczość, nie mniej jednak uznanym-by został za jednego z pierwszych wieszczów Słowiańszczyzny i jednego z najgenialniejszych poetów europejskich. W przeciągu lat dziesięciu (1873—1883), prócz mistrzowskich przekładów z Danta, Leopardiego, Wiktora Hugo, Hafiza i innych, wydał on cały szereg poematów i zbiorów poezji lirycznych i epicznych, jak: „Z głębin“, „Marzenia o szczęściu“, „Rok na południu“, „Vittoria Colonna“, „Symfonie“, „Poezje epiczne“, „Wrażenia i usposobienia“, „Eklogi i pieśni“, „Myty“ (dwa cykle) „Duch i świat“, „Nowe poezje epiczne“, „Hilarion“, „Pielgrzymki do Eldorado“, oraz dwie tragedye: („Drahomira“ i „Śmierć Odyseja“) i komedją („W becze Dyogenesa“). W utworach tych odbijało się stopniowe kształtowanie się i nieustanny, a szybki rozwój tytanicznego isticie ducha genialnego poety czeskiego. Wymienione powyżej zbiorki poezji były jakby szczeblami drabiny, po której śmiało dążył ku słońcu prawdy i piękna. I zdawało się, że doszedł doń w zbioroku: „Duch i świat“, zdawało się, że zbiorok ten, wyrażający niejako *credo* filozoficzne poety, a będący wspaniałą epopeją ducha ludzkiego, jest ostatnim, najwspanialszym wyrazem jego twórczości poetyckiej; że odtąd ramki poezji lirycznej i epicznej będą dlań za ciasne i że naturalną koleją rzeczy zmuszony będzie przejść na pole poezji dramatycznej.

Przeszedł też i jak tam, tak i tu, szturmem zdobył uznanie. Dwie jego tragedye i komedye, osnute na tle odległej starożytności, tak odległej, że, zda się, przez to samo nie mogłyby znaleźć odzwiedku w uczuciach i pojęciach naszych, cieszą się jednak na scenie teatru prazkiego olbrzymiem powodzeniem i świetnie rozpoczynają nową erę odrodzenia poezji dramatycznej czeskiej, która, jedyna z trzech działów poezji, pozostała w tyle i nie mogła pozbyć się śladów wpływu germańskiego.

Okazawszy się jednak świetnym dramaturgiem, nie zarzucił Vrchlicki poezji liryczno-epicznej. W końcu roku zeszłego ukazał się nowy cykl jego poezji pod tytułem: „Co życie dało“, odkrywający zupełnie nową stronę talentu i świadczący, że geniusz prawdziwy nigdy w żadnym kierunku wyczerpać się nie może, bo wciąż nowe a wielkie potrafi odkryć przed sobą widnokręgi. Zanim przystąpimy do rozbiórki powyższego cyklu, muszę jeszcze w paru słowach wspomnieć o zdaniach krytyki o Vrchlickim.

Pani Krasnohorska w swym „Obrazie najnowszej poezji czeskiej“, a za nią p. Pypin, autor historii literatury słowiańskich, stawiają Vrchlickiemu dwa bardzo poważne zarzuty: naśladowanie Wiktora Hugo i kosmopolityzm w poezji, — i na mocy tego odsądzają go od przyznawanego mu przez innych (np. pr. Durdika) tytułu poety europejskiego. Oba zarzuty są z gruntu niesłuszne. Istotnie, wpływ W. Hugo daje się uczuć u Vrchlickiego, lecz tylko w pierwszym zbioroku poezji: „Z głębi“. W następnych, opierając się na wspaniałym fundamencie ojca romantyzmu francuzkiego, poeta pracuje już zupełnie samodzielnie i każdy zbiorok jego poezji staje się częstoką jego własnego ducha, nosi — według wyrażenia Libelta — pieczęć jego osobowości. We francuzkiej poezji nowo-romantycznej panuje pewien rozłam, pewna dwulicowość, która uwidoczniła się i w utworach jej koryfeusza, W Hugo. Rozumiał on to sam, gdy mówił: „Dwa stronnictwa wytworzyły się w łonie nowszej literatury. Obydwa uznały to, co wyszydziła filozofia: wieczność Boga, nieśmiertelność duszy, pierwotne i objawione prawdy; jedno wszakże, ażeby je uwielbiać, drugie, aby im złorzeczyć: jedno patrzy na wszystko z wyżyny niebios, drugie z czeluści piekła; jedno stawia nad kolebką ludzkości anioła, którego znajduje w węzłowie swojego łoża śmiertelnego, drugie otacza kroki człowieka demonami, straszidłami i złowrogami zjawiskami“. Liryka W. Hugo jest przeważnie pogodną, świetlaną, podczas, gdy romanse i dramata przedstawiają odwrotną, negacyjną część jego twórczości. W poezji Vrchlickiego, oprócz pomienionego pierwszego zbioroku, dwulicowości tej nie znajdujemy. Przeciwnie, stawia on zawsze i wszędzie tylko anioła



JAN III SOBIESKI I JEGO RODZINA.

nad kolebką ludzkości, współcześnie i podnosi najlepsze strony i wielkie przymioty ducha ludzkiego, wierzy w przyszłe zwycięstwo ducha nad przyrodą i w ogóle „patrzy na wszystko z wyżyny niebios“. Widzimy tu zatem pewien stały jeden kierunek — i to według nas jest ważnym argumentem przeciw zarzutowi naśladownictwa i podlegania wpływom romantyzmu francuskiego. Drugi zarzut, stawiany Vrchlickiemu przez p. Krasnohorską, dzięki jej osobistym gorąco-patryotycznym zasadom, a przez p. Pypina, dzięki jego tendencyjności, polega na tem, że Vrchlicki, poruszając w swych poezjach idee ogólnoludzkie, brał temata ze wszystkich krajów Europy i ze wszystkich epok, tylko nie z historii swego własnego kraju, nie z życia swych rodaków, i dawał tem Czechom niejako *testimonium paupertatis*. Zarzut ten istotnie miał pewną rację bytu, lecz nie dawał jeszcze powodu do tak ostrych wyrażań, jak to, że „nowa szkoła poetycka straciła berło w państwie ducha Narodu Czeskiego“, oraz do lekceważącego traktowania Vrchlickiego, a podnoszenia poetów daleko niższego nastroju, dlatego tylko, że pisali na temata ściśle narodowe; a wreszcie w ostatnich czasach i ten zarzut upadł. Już w zbiorze zatytułowanym: „Nowe poezje epiczne“ znajdujemy kilka pięknych utworów na temata czeskie; tom pierwszy *Mytów* zawiera poemat „Szarka“, „Legendę o św. Prokopie“, oraz „Krzyż Bożetiecha“, wszystko zaczerpnięte z bajecznych podań czeskich; następnie tragedia „Drahomira“, osnuta całkowicie na tle dziejów czeskich, ma za treść burzliwe panowanie Drahomiry, żony księcia Wratysława; wreszcie w ostatnim zbiorze, który mamy rozbiierać, zwrót ten ku tematowi ojczystemu, narodowym, czeskim i ogólnosłowiańskim, zaakcentował się silniej jeszcze i wyraziściej w kilku pięknych, tak duchem, jak i treścią, czysto-czeskich utworach.

Dziś krytyka nie może już wynaleźć żadnego zarzutu dla Vrchlickiego, lecz brzmi jednogłosem chórem pochwał i uwielbień — i zgadza się bezwzględnie na zdanie prof. Durdika o dziełach Vrchlickiego, które, wyrzeczony 1878 r., w korespondencji do *Ateneum* angielskiego, budziło jeszcze w zapamiętałych *vlastencach* (patryotach) pewne wątpliwości. Zdanie to brzmiało, jak następuje: „These volumes... give Vrchlicky a foremost place among the living poets, not of Bohemia only, but of Europe“.

Vrchlicki jest poetą wyjątkowym genialnym. Żadna dziedzina poezji nie jest mu obcą, w każdej był i w każdej zabłysnął, jak gwiazda pierwszej wielkości. Genialny poeta, jest zarazem głębokim myślicielem. Porusza najważniejsze zagadki bytu, sięga w głąb ciemnych mytów, podań bajecznych, i inne ludzkości otwiera widnokręgi, a to nie w suchej, dydaktycznej formie, lecz w szeregu barwnych, charakterystycznych, życiem drgających obrazów, stanowiących, każdy sam przez się, oddzielną całość, lecz przytem związanych jedną ideą przewodnią. Do tego dodać należy język giętki, barwny, to potężny, jak odgłos gromu, to znów miękki, jak westchnienie wiatru w cichą noc księżycową, o którym Vrchlicki śmiało mógłby powiedzieć, co powiedział o Słowackim wieszcz mu współczesny, a co on sam powtórzył w *Beniowski*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Październiku 1883 r.

Wystawa Sztuk Pięknych.

Tegoroczną lwowską wystawę sztuk pięknych zaliczyć można do miernie uposażonych. Dzieł wielkiego talentu, mogących stanowić epokę w sztuce a przynajmniej uwydatnić jej kierunki

obecne, niema, ale jest przecież dosyć obrazów godnych uwagi, znamienicie pięknych, będących dowodem bujnego rzkwitu malarstwa u nas dzisiejszej czasy. Mianowicie krajobraz i malarstwo rodzajowe przedstawiają się na wystawie tegorocznej bardzo dobrze. Obrazów historycznych w ścisłym tego słowa znaczeniu nie ma, jeżeli nie zaliczymy do ich rzędu pięknej akwarelli Kossaka, przedstawiającej *Paska w bitwie pod Parkanami*, lub *Jaśka z Nemerzyc* Daczyńskiego. Jedyny obraz olejny posiadający przymioty kompozycji historycznej na większą skalę Strzałeckiego *Sobieski na Kahlenbergu*, ledwie na wspomnienie zasługuje.

Obraz religijny znajdujemy jeden tylko: Strzeżockiego *Chrystus z krzyża zdjęty*. W czasach hołdujących przeważnie realizmowi, w wieku ogołoconym z wiary ascetycznej, będącej przez długie lata rodzicielką dzieł wielkich na polu sztuki religijnej, nie można się spodziewać arcydzieł w tym kierunku. Jak atmosfera, którą oddychamy, wpływa na wykształcenie organizmu fizycznego, podobnie atmosfera umysłowa, otaczająca społeczeństwo, wywołuje na każdym polu odpowiednie jej naturze kierunki. Nie dziwić się zatem społeczeństwu ubóstwu malarstwa religijnego, ale raczej z tem większym uznaniem każdy zasługujący na to utwór społeczny przyjmować należy. Obraz Strzeżockiego, przeznaczony do ołtarza wielkich rozmiarów, nie posiada wdzięcznej harmonii kolorytu, jaką odznaczają się religijne dawnych mistrzów arcydzieła, ale postacie składające kompozycję są pełne wyrazu, a rysunek i ugrupowanie osób otaczających zdjęte z krzyża Ciało Zbawiciela, bardzo dobre. W wykonaniu znać pracę artysty utalentowanego i sumiennie zawód swój obejmującego.

Życie towarzyskie, tradycje obyczajowe, dramat domowy, w rodzinnem odgrywający się kółku: oto przedmioty dostarczające głównie treści malarzom naszym; sztuka albowiem jest wierną kopią życia, którego kierunki społeczne zawsze w niej się odzwierciedlają. Sztuka dzisiejsza szuka częstokroć tematu do dzieł swoich pomiędzy ludem i znajduje tam rzeczywiście bogatą kopalnię dramatycznych kollizji, scen charakterystycznych, postaci typowych i sielskości, z której umiejętnie skorzystawszy, można wydobyć istne klejnoty, wysnuć pełne wdzięcznej prostoty i głębokiego uczucia arcydzieła. Weźmy naprzykład ten pierwszy nasuwający się oczom naszym na wystawie obraz Pruszkowskiego, przedstawiający dziewczę z kornkami u studni i rozmawiającego z nią krakowskiego parobczaka. Sielanka to czy dramat? Zapytujemy wpatrując się z zajęciem w obie postacie chcąc wnikać w głębię tych dwóch dusz, podłuchać ich rozmowę z serca do serca płynącą. Nazwa obrazu: *Umizgi* wcale nie właściwa. To nie umizgi, których pamięć zatrze się za chwil parę; tu widocznie waży się przeszłość dwóch istot, dla których w ciężkim życiu pracy, to jedno uczucie, ta miłość wzajemna jest jedyną osłodą trosk i wszelakich przykrości. On ujął ją za rękę i czeka odpowiedzi na uczynione wyznanie, a szczerze, serdeczne słowa jego głębokie znać na niej wywarły wrażenie, bo patrzy nań z taką miłością, z taką prawdą uczucia, słucha go z takim zajęciem, że cały stan jej duszy i treść odpowiedzi spodziewanej odgadniesz za pierwszym wejrzeniem, z wyrazu twarzy. Twarz to o rysach nieregularnych, cerze opalanej od słońca, a płci niewymuskanej, a przecież piękna, sympatyczna uczuciem, które ją opromienia. Zarzucają temu obrazowi, że jest za nadto wielkiego rozmiaru a postacie niepotrzebnie w naturalnej przedstawione wielkości. Być może, iż mniejszy format odpowiadałby rzeczywiście lepiej treści obrazu, albowiem uwaga widza nie gubiłaby się w akcesoryach zapełniających większą część płótna; ale ostatecznie autor ma prawo rozrządzać formatem, który za najodpowiedniejszy do oddania swego pomysłu uzna, i nie można mu w tym względzie czynić zarzutów, jeżeli tylko tak jak tutaj wykonanie odpowiada zamierzonemu przedsięwzięciu i tyle jest duszy w obrazie.

W podobnym rodzaju z całym realizmem natury oddanym jest Borkowskiego *Wiesniak mazurski z kuflem w ręku*; ale jakże wielka pomiędzy obu

obrazami różnica! W kompozycji Pruszkowskiego jest gra uczuć podniosłych, czuć pod siermięgą i zgrzebne płótnem serca bijące, dla których szczerą uczuwamy sympatją, podczas gdy wieśniak Borkowskiego jest wprawdzie typem dobrze malowanym, ale pozostawia widza obojętnym, gdyż całe zajęcie, cała treść obrazu koncentruje się w kufle piwa, ku któremu w tej chwili zwrócone myśli i uczucia używającego wczasu wieśniaka. Przedmiot sam w sobie nie posiada myśli podnioslejszej, usposabiającej już z góry sympatycznie dla obrazu.

Scenę z tradycji obyczajowej życia szlacheckiego przedstawia *Kulig* Mroczkowskiego, płótno wielkich rozmiarów, największe na tegorocznej wystawie lwowskiej. Przed ganek wiejskiego dworu zajeżdża przy blaskach latarni szereg sań i jeźdźców w maskach i bez masek — panie w sankach pootulane futrami i szalami od zimna; na podwórzu ruch wielki, tłoczą się jeźdźcy, sanie, maski; kapela żydowska gra na powitanie; cała czeladź dworska z rozmaitych złożona postaci, wybiegła, przypatrując się wesołemu widowisku. Przed ganek wyszedł gospodarz domu, stary szlachcic kontuszowy, i z otwartymi rękami wita gości — szczerze rad towarzystwu, co z weselem i wrzawą domek jego najechało. I znać, że rozstąpią się ściany domku, pomieszczą wszystkich gościnnie i ochoczko pójdzie zabawa. Obraz ten posiada wiele zalet. Są w nim postacie typowe, wyborne malowane; jak naprzykład: grupa muzykantów żydowskich grających przed gankiem, lub stara wieśniaczka przyglądająca się z niezmierną ciekawością i uradowaniem orszakowi masek. Najmniej, nawiasem mówiąc, udatny jest sam gospodarz domu, witający gości przed gankiem; w jego postawie, rzucie głowy, rozkrzyżowaniu rąk, jest coś przesadnego, co psuje wrażenie, chociaż zresztą malowanie bardzo dobre, zwłaszcza w częściach obrazu bardziej wykończonych.

Merwart, który dał się nam świetnie poznać na wystawie zeszłorocznej swym *Potopem*, przysłał obecnie dwa pomniejsze szkice i portret kobiecy. Portret jest skończenie piękny, a szkice bardzo sympatyczne, chociaż tylko jakby od niechcenia rzucone. Obadwa przedstawiają, rzekłbym, sielankę życia, tylko że pierwszy z nich jest sielanką pałacową z epoki wersalskiej, o pudrowanych fryzurach, świetniejącą aksamitami, koronkami, wyszukany przepychem i elegancją dworską wieku XVIII, podczas gdy drugi jest istną z życia ludu wziętą, dzisiejszą domową naszą sielanką, oddaną w całej prostocie prawdy i uczucia, co też stanowi sympatyczny urok obrazka. Na pierwszym widzimy grono dam strojnych, schodzących z pałacowej werendy, pełnej kwiatów, o barwach jaskrawych, a u stóp schodów ganku w wązkim pomiędzy ballustradą przejściu, stanął równie strojny młodzieniec w aksamitnym niebieskim fraku, w koronkach i zaborach i z eleganckim ukłonem woła: „Nie puszczać“. Wdzięczny uśmiech słodkie wejrzenia pań wesoło żart młodzieńca przyjmujących, usuną wnet zapórę, będąc najpewniejszą w takich razach kartą przejścia. Życie takie, jak pianka tęczowa, życie wśród kwiatów i blasków, ponętne błyskotną powierzchownością, wyziera z tej sceny będącej zawiązkiem romansu, a może kilku romansów i kollizji serdecznych, tak przelotnych i lekkomyślnych, jak czasy i społeczeństw, którego jest reminiscencją. Wszystko w tym szkicu dostraja się do głównej myśli: bogactwo barw, przepych strojów, kwiecisty ogród tworzy świetną dekorację, odgrywającej się romantyczno-sielankowej sceny. Inaczej zupełnie przedstawia się widownia szkicu drugiego. Szare niebo, krajobraz smutny, dżdżysty, strumienie deszczu leją z góry i zaciemniają okolicę; w dali widać owce na pastwisku, cisnące się w gromadkę przed ulewą i na przodzie obrazu dwoje młodych pastuszków: chłopiec i dziewczyna, chronią się przed deszczem we wnętrze spróchniałego pnia, rozpiąwszy ponad nim chustę nakształt dachu. Przesłizne są obie postacie tych dwojga wyrostków; prawdopodobnie jest to rodzeństwo. On z braterską troskliwością stara się ją zasłaniać przed ulewą, ona tuli się doń, patrząc mu w oczy z nie-

wysłowioną miłością i oddaniem się jego opiece. Z przyjemnością wpatrujemy się w ten obrazek, nieszukający wymuszonych efektów, a przeto właśnie powabniejszy od wielu innych.

Wręcz odmienny jest p. Chełmińskiego *Powrót z wesela*, malowany w stylu *barocco*. Karetą pozłocista z czasów Ludwika XV jak baldachim rozpięta, wiezie państwa młodych. Stangret w peruce i trójgraniastym kapelusiku, konie siwe, uprząż amarantowa pozłacana; w dali widać szeregi innych podobnych powozów, tworzących orszak weselny: ale cała uwaga skupia się na pierwszym, z którego wychyla się postać panny młodej. Jaskrawe bogactwo barw, dobrze scharmonizowanych, nadaje wdzięku obrazowi; przenoszącemu nas w czasy pod względem kaprysu mody fantastyczniejszej od naszych, będących dla kolorysty źródłem błyskotliwych wrażeń, pełnych powierzchownego przepychu i elegancji. W odmiennym sposobie wykonany jest tegoż artysty obraz przedstawiający *Podróż w zimie* przez śnieżyste stopy, gdzie droga często gubi się w nieprzejrzanym obszarze, a nocą przewodnik konny z kagańcem jest niezbędny, aby się nie zabłąkać na bezdrożu. P. Chełmiński pochwylił dobrze naturę stepu naszego porą zimową — zasypane śnieżne, niebo ciemne, ludzie i konie, cwałem przez step pomykający, cała ta grupa, mrokiem stepowej nocy osłonięta, wywołuje w pamięci widza niejedną taką podróż. Natura i człowiek przedstawiają się tutaj w typowej swej prawdzie, dobrze oddane. Jest to zresztą nie pierwsza u nas w tym rodzaju kompozycja. Zima, ze swemi burzami szalejącymi po stepach, z zamiecią zasypującą nie tylko ludzi zbłąkanych po drodze, ale wieś cała, zima nadająca charakterystyczne cechy całemu krajobrazowi, zmieniająca go do niepoznania, zima wywołująca swą grozą i siłą nieraz sceny pełne tragiczności, nasuwa malarzowi tysiące tematów, pełnych wrażeń i rozmaitych kontrastów, z których lubią czerpać niektórzy z naszych artystów. Przepyszne kompozycje tego rodzaju tworzy Chełmiński, którego *Zadymka* na obecnej wystawie, wyobrażająca kopiące się przez zasypane śniegowe sanie parokonne, na wół śniegiem przysypane z podróznym, dokładającym całej siły, aby się przebić przez zamiecie i wydobyć z krytycznego położenia, jest jednym z najlepszych, mającym znakomite zalety obrazem. W podobnym też rodzaju, przypominająca szkołę Brandta, jest: *Podróż w zimie* p. Domaniewskiego, z końmi na efekt wybornie malowanymi. A kiedy już oglądamy sceny podróżne, toć na zakończenie zatrzymamy się chwilę dłużej nad *Wyjazdem z noclegu* p. Piotrowskiego. Szarym porankiem, gdy przedświt blizkiego wschodu słońca nie rozpedził jeszcze cieniów nocy, okrywających krajobraz, wyjechał z noclegu z przydrożnej austery, powóz przez czwórkę przepysznych koni ciągniony zwolna po błotnistej drodze, zakręcającej brzegiem łąki. Prześliczne rasowe konie wyglądają majestatycznie na pierwszym planie, wybornie malowane, podobnie jak cały krajobraz, tak naturalny, tak swojski i znajomy. Przejrzystość nocy ze wszystkimi swoimi tonami oddana tutaj doświadczoną ręką artysty posiadającego bogactwo techniki i poczucie piękna w wysokim stopniu.

P. Rajchana *Powiatka skandaliczna* (Une histoire piquante) tudzież jego *Zydówka marokańska* i *Paryżanka*, dwa typy z natury wzięte, obliczone są głównie na efekt kolorytu — młody artysta usiłuje olśnić bogactwem akcesoryów, do jaskrawości gdzieś posuniętym kontrastem barw i charakterystyką postaci. Uderza to szczególnie w skandalicznej historyjce. U stołu, przy zastawie herbacianej, w eleganckim otoczeniu, siedzą przy herbacie dwaj podstarzały mężczyźni i kobieta, zapewne gospodyni domu, strojna wykwiłtnie, w sukni pomarańczowej, przypominającej modę zeszłego wieku. Jeden z mężczyzn, tłusciuch, sybaryta, z twarzą opromienioną uśmiechem i filuternie złośliwym na sąsiadkę wejrzeniem, opowiada coś widocznym skandalicznego, bo pani domu odwraca się, niby nawiasem poprawiając sobie coś koło ubrania podczas, gdy uszkiem zwróconem ku mówiącemu, chwyta każde słówko ciekawej anegdoki. To wrzekome zakłopotanie pięknej pani bawi obu panów, bardziej może niż sama treść po-

wiastki. Cel kompozycji osiągnięty: wszystkie trzy postacie scharakteryzowane wydatnie są przedstawicielami społeczeństwa żyjącego w świecie lekkim, próżniaczem, lubującego się w świecie skandalu pod powierzchownością pełną elegancji i komfortu — nieposiadającego w duszy ani myśli głębszej, ni podnioslejszego polotu. P. Rajchan goni za wrażeniami kolorytu, lechce oko i fantazją, obrazy takie mogą się podobać chwilowo; ale czy kierunek to zdrowy, prowadzący w sfery odpowiedzialnie zadaniom sztuki? — to inne pytanie. Błyskotliwość popłaca, ale niezawsze ze szczerego jest złota.

Gawędę także, ale w zupełnie innym sposobie, pogadankę przy miodku trzech wiarusów weteranów, przedstawia małych rozmiarów wyborny obrazek, p. Strzaleckiego. W te trzy typowe postacie, pełne wydatnej charakterystyki, wpatrujemy się ze szczerą przyjemnością, z powodu naturalnej prawdy, jaka w nich się znajduje. Jeden z wiarusów, siedząc za stołem, opowiada towarzyszący widocznym jakiegoś ciekawego zdarzenie z mnogich bitw, których był uczestnikiem; palcem w górę wzniesionym chce, jak się zdaje, zwrócić szczególniejszą uwagę obu słuchaczy na scenę, którą opisuje. Słuchają go też ciekawie, i ten obok siedzący, z nosem nieco zaczerwienionym, zaglądnijacym znać często na dno kufelka, i ów drugi, z boku stojący. W zapale opowieści poczciwy wiarus zmyśla pewno wiele rzeczy dla podniesienia wrażenia; ale nic to nie szkodzi: przeciwnie, tem bardziej jeszcze bawi i zajmuje wierzących święcie każdemu słowu kollegom. Myślimy i wojażkom zmyślać wolno. Stary wyga korzysta też z tej wolności, widocznym zadowolony zajęciem, które obudził. Wybornie schwycone typy znamionują zdolności do obrazów rodzajowych swoich w guscie flamandzkim.

Grajek uliczny p. Dukczyńskiej przypomina postacie obrazów Murilla, z którego mógłby być kopią. Malowany bardzo starannie i z talentem, jest jednym z najsympatyczniejszych obrazów tegorocznej wystawy. Słyszałem kogoś, co się tak o nim wyraził:

— „Gdyby mi pozostawiono wolny wybór, z całej wystawy wziąłbym sobie ten obrazek.“

A ten, co to mówił, był znową i... nie ubliżając nikomu, miał słusność, chociaż powiada łacińskie przysłowie, że o gusta sprzeżać się nie można. W tym razie jednakże gust bardzo łatwo daje się usprawiedliwić.

(Dovonczenie nastąpi)

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— Konkurs warszawskich ochmistrzyń imienia Pauliny Kraków zostanie przed końcem bieżącego miesiąca rozstrzygniętym. Pięć pań, wydziałonych z pomiędzy fundatorek konkursu: pp. Budzińska, Czarnocka, Pappi, Raczyńska, Sikorska, Zaleszkiewicz, zaprosiły do działania komitet o wartości utworów konkursowych sędzić mający, a którego członkami są: x. Chełmiński, pp. Piotr Chmielowski, Jadwiga Sikorska, Marya Ilnicka.

— Redakcja *Bluszczu* odebrała z okolic Szadku pod dniem 15 Października pisany list — list nie tylko bardzo piękny i bardzo szlachetnym duchem ożywiony, ale pocieszający, bo zawiera on obronę kobiety naszej przeciw zarzutom, które spotykają ją często w rozmaitych pismach warszawskich, krzyżujących na kobiecie stroje, kobiece zbytki, francuzyznę i powierzchowność. Nie wiem, czy wolno nam zdradzić nazwisko szanownego korespondenta, ale pozwalamy sobie treść listu w części przytoczyć, aby wraz z nami ucieszyć się nią mogli i inni. — „Myślę, że i Warszawiankom czyni się krzywda“ — pisze autor listu i ma niewątpliwą słusność pod tym względem, że nie wszystkie to są nasze córki Syreniego Grodu: kość z kości naszej, których zbytek i obcy język nie miło razi ludzi poważnych, a które „w papuzie stroją się piórka i gadają jak papugi“. Każde wielkie miasto musi mieć i ludność przybyszową, i szumowiny swoje: autor listu pragnie zatem, aby sądzono

o zbiorowej kobiecie polskiej przez mieszkanki wsi, a wtedy już jego okolica przedstawiłaby sądowni temu inne obrazy, bo tam typ starodawnej naszej kobiety tak źle się nie przetrzymał, a przeciwnie: „Tensam wyraz ust łagodnie, słodko uśmiechniętych; tesame oczy, przez które szkli ci myśl Boża, święta; tasama ręka do pracy i miłosierdzia gotowa; tasama dusza, która o sobie nie myśli, a której żadna ofiara nie trudna. Powiecie może, czytając te wyrazy: to jakiś wieśniak zakochał się w wiejskiej panience... I będziecie mieli racją... Mam lat sześćdziesiąt, żonę, dzieci, ale mi w tej chwili serce gorąco uderza, bo kocham. Dopóki nam (wedle naszego typu) kobiet stanie, dopóki nam (wedle naszego typu) stanie matek — dopóty życia nadzieja.“

Szanowny korespondent dołącza w dalszym ciągu jako przykład, jako ilustracją twierdzeń swoich pośmiertne wspomnienie o zmarłej w Lubelskiem d. 1 Października — wzorowej, a młodzieńkiej, dwudziestoletniej niewieście: Czesławie z Kozarskich Świeżawskiej. Córka bardzo zamożnego domu, niepospolicie wykształcona, mająca wszystkie środki potemu, aby życie swoje uczynić używaniem wesołym, umiała jednak oprzeć je na innej — wyższej podstawie. Jako rys charakterystyczny przytacza autor listu, że chodziła w sukniach własnej roboty; że, będąc jeszcze panną, całe wieczory przepędzała w towarzystwie bardzo już sędziwej babki swojej, a strój, wykwiłtna elegancja, była dla niej tak podrzędną rzeczą, że gdy matka jechała do Warszawy w celu robienia dla niej wyprawy, ona z ojcem na wsi przez parę jeszcze tygodni została, aby przebywać dłużej, w rodzinnym domu, w wiosce rodzinnej. „Dziś już w grobie — pisze korespondent — jest nam jeszcze pomocą, bo przykładem, bo nadzieją i wiarą, że mamy jej podobne — kapłanki domowego ogniska.“

Pod wpływem szlachetnych tradycji wychowywała się też ta piękna postać niewieścia, po której takie wspomnienie zostało u ludzi. Płynęła w niej przez matkę krew Puławskich; imię „Czesława“ było jej danem, o ile wiemy, na pamiątkę wuja, który miał zgon Puławskich.

Pragnęlibyśmy od Sz. Korespondenta więcej o okolicy jego spostrzeżeń i wiadomości, jak tam kobieta z dworu stoi do kobiety w chacie? jakie tam są jej cywilizacyjne, umoralniające wpływy? jak idzie wielka sprawa społeczna wstrzemięźliwości ludu, sprawa gospód chrześcijańskich? Z każdej okolicy kraju, z każdego powiatu wiadomości takie byłyby niewymownie dla redakcji naszej pożądane i przyjmowane z wielką, bardzo wielką, wdzięcznością. Sz. Korespondentowi piszemy też: — Dziękujemy za już, prosimy o jeszcze...

— Nowe okno kolorowe w kościele Przemienienia Pańskiego (Pokapucyńskim) umieszczone na wprost kaplicy, gdzie złożonem jest serce Jana III, pochodzi z malarni hr. Maryi Zubińskiej zwanej pracownią Św. Łukasza. Malowidło okna, będące kopią obrazu z polowej kaplicy króla pod czas Wyprawy Wiedeńskiej, przedstawia Bogarodzicę z Dzieciątkiem Jezus. U dołu znajduje się herb Sobieskich: Janina, co wszystko objaśnia ozdoby napis w języku polskim. Oryginał obrazu znajduje się w posiadaniu kks. Radziwiłłów.

— Kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie, jest w Warszawie trzecią z rzędu świątynią, którą ofiarnicza pobożność kobiety przysporzyła służbie Bożej, i to wśród tych nowych ulic rozszerzającego się miasta, gdzie brak kościoła musiałby odbić się złym wpływem na obyczaje i umoralnienie ludności. Wprawdzie kościół Wszystkich Świętych, budujący się przez lat 24 i będący na całej przestrzeni kraju naszego najobszerniejszym Domem Bożym, bo pomieścić może 8,000 ludzi, dźwignął się głównie ze składek publicznych Warszawy i jej okolic, niemniej myśl z której powstał, i fundament, na którym się oparł, wychodziły od kobiety, śp. Gabryeli z Gutakowskich Zabiellowej, która w 1859 r. ofiarowała na ten cel obszerny plac na Grzybowie, kamienicę i 12,000 rs. Prócz tego na pięć znaczniejszych ofiar prywatnych, zaznaczających się wśród składek drobnych, trzy są darem kobiecej hojności: hr. Augustowa Potocka włącznie z wartością obrazu Trevisaniego: Chrystus na krzyżu

dała 22,000; Paulina z Palusiewiczów Dąbrowska rs. 28,000; Marya Kazanowska rs. 14,000. Przytem panie warszawskie ukwestowały przez r. 1879 i 1880—rs. 69,000.

— Zmarłej w Rzymie w końcu zeszłego roku przyjaciółce Mazziniego i gorącej patriotce włoskiej, Sarinie Natan, postawiono obecnie na cmentarzu Campo Verono, pomnik pamiątki. Sarina Natan stała od lat kilku na czele elementarnej szkoły miejskiej, noszącej nazwę „Scuola Mazzini“. Nauki udzielane tam były wedle planu ogólnie przyjętego dla tego rodzaju szkół ludowych, i różnica polegała jedynie na innym ich co do czasu rozkładzie, a to z przyczyny, że uczennice poświęcały kilka godzin dziennie nauce chlebobajnych zajęć, jak szycie na maszynie, haft, krawiectwo, przyczem śpiew chórny i ćwiczenia gimnastyczne przeplatały męczące siedzenie nad książką lub robotą. Przytem duch ożywiający szkołę był w niezwykły sposób podniosły i dziewczęta słuchały dodatkowo wykładu moralności, polegającej wedle Mazziniego „Obowiązków Człowieka“, na połączonych obowiązkach „względem Boga, ludzkości, ojczyzny, rodziny, a nakoniec względem samego siebie“. Idea obowiązku była przewodnią nicią w filozofii Mazziniego i streszczająca ją sentencja: „Każde prawo wynika z jakiegoś spełnionego obowiązku“. (Ogni diritto è il risultato di un dovere compiuto) jasnie wypisana naderzwami szkoły, którą prowadzi obecnie córka zmarłej, Ada Natan, zamężna Castiglioni. Uczennice rekrutują się z pomiędzy najbiedniejszych dzieci rzymskich i nauka jest też prawie bezpłatną. Istnieje przy szkole wspólna kassa oszczędności, założona przez uczennice, a wkład pochodzi z drobnych zarobków, jakie już z pracy swojej osiągać mogą, lecz często bardzo, gdy która z dziewcząt nie może kupić sobie obuwi wśród zimy, lub zachoruje i nie ma na lekarstwo, kassa oddaje zaraz cały swój zasób szewcowi lub aptece, a wszystkie towarzyski obdarowanej czują się uszczęśliwione, że mogły spełnić *obowiązek względem bliźniego*. Jedna z wychowanek szkoły, obecnie dorosła, ośmnastoletnia panna, zajmuje miejsce pomocnicy ochmistrzyni, ale jest narzeczoną, wyjdzie wkrótce za mąż i szkołę porzuci, bo występuje teraz dla niej na plan pierwszy *obowiązek względem rodziny*. Mazzini pojmował go bardzo surowo i zachodzi tu pewne pokrewieństwo poglądu z Millem. Kobieta mężatka, kobieta matka, nie powinna już przyjmować zobowiązań w kierunku pracy publicznej, bo służba jej dla kraju i społeczeństwa spełnia się teraz u ogniska domowego, gdzie z jednej strony ma być pomocą życia dla męża obywatela, z drugiej chować człowieka dla ludzkości a dla kraju siłę, którą ma go wspierać i przykładać się do jego rozwoju.

— Tak długo odwlekane otworenie w Paryżu licealnej szkoły rządowej dla dziewcząt przyszło do skutku w połowie Października. Nosi ona nazwę: „Lyceum Fenelona“ i jest umieszczoną w dzielnicy Łacińskiej, przy ulicy St. André des Arts, lecz, nie zależąc bynajmniej od municypalności miasta, jest umieszczona pod bezpośrednim nadzorem inspektorów Uniwersytetu Paryżkiego, i pod wysokim przewodnictwem jego wicerektora. Zupełnie w tensam sposób jak to się dzieje z Lyceami męzkimi, znaczną część kosztów szkoły ponosi rząd, co musiało nastąpić, skoro pensje ochmistrzyni, nauczycieli i nauczycielek odpowiadają pensjom drużyny nauczycielskiej przy liceach męzkich. Ale panuje jeszcze w Paryżu wątpliwość co do powodzenia nowej szkoły, która, jakkolwiek jest w swoim rodzaju najlepszą i nazywać się może rzeczywistą szkołą wyższą dla kobiet, ma jednak przed sobą niezmiernie wiele trudności do zwalczania, bo stoi wpośród dwóch, równie zaciętych obozów. Z jednej strony dla czerwonej demagogii już musi być nienawistnym „Lyceum Fenelona“ z drugiej inaczej zacięty i uparty kon-

serwatyzm, a raczej zacięta i uparta zastołość, a zrazem ta, nieznana nigdzie indziej niby religijność francuzka, która Boga z pewną partją polityczną jednoczy, podnosić będzie głos przeciw nauce dziewcząt, urządzonej w sposób nowy. A przytem są nawyknięcia usprawiedliwione poniekąd przez stosunki miejscowe, przez miejscowy stan obyczajów i moralności, a raczej niemoralności. Matka Francuzka, jeżeli córki na pensji czy klasztornej, czy świeckiej nie zamyka, i chce być matką o tyle dobrą, aby chować ją i kształcić pod kierunkiem własnym, nie spuszcza jej nigdy z oka i w liście pisanym z Paryża właśnie w sprawie nowej szkoły, spotkaliśmy tę uwagę, że znajdują się w Paryżu, i nie tylko w Paryżu, setki matek takich, które od urodzenia do chwili oddania córek mężom, nie rozłączyły się z niemi ani na chwilę. Taka troskliwa matka towarzyszy najpierw bonie, gdy ta małą dziewczynkę prowadzi na spacer do ogrodu; następnie idzie z córką na wykłady nauk i wycieczki na nią godzinami całemi, aby zabrać ją zaraz ze sobą do domu, co tu już miejsca mieć nie może. Korrespondentka, z której listu czerpiemy podane wyżej szczegóły, pisze, iż zna niejedną matkę, która w czasie egzaminów córki, była wiele więcej zmęczona, niż ona sama. Wstąpił we Francyi samej kobiety do jakiegoś poważniejszego w życiu stanowiska, wynika niewątpliwie z przyczyny, że aż dotąd największa część kobiet zwracających się ku czemuś wyższemu, mieszała tam pojęcia postępu z pojęciami nieograniczonej swobody i ztąd uceziwa i delikatnie szlachetna, nie chce się wysuwać naprzód, aby nie być policzoną w opinii ludzkiej do jednego szeregu z tamtymi, i we Francyi to sprawdza się stara ta prawda, że kobieta wtedy tylko może sięgać po godność wyższej wiedzy, wyższego w społeczeństwie znaczenia, gdy do tej wyższości jest przez godność ducha, przez dostojność moralną dostatecznie przygotowana.

Lyceum Fenelona jest nie tylko pod względem postępu w naukach, ale i zmniejszenia kosztów edukacyjnych wielką i dobroczynną rzeczą. Nauka w pierwszych dwóch klassach kosztuje rocznie 150 fr., w wyższych 250 fr., co jednak podnosi się od 250 do 350 fr., jeżeli uczennica ma mieć sobie zapewnioną pomoc nauczycielki-korrespondentki w tych chwilach wolnych, które są jej zostawione pomiędzy wykładami. Przytem uczennice mogą dostawać w południe śniadanie gotowane, mogące stanowić dla nich obiad, co przecież obciąża rocznie budżet o 800 dla małych, a 850 fr. dla starszych. Zarzucają szkole, że położona w Quartier-Latin, nie daje uczennicom odpowiednio świeżego powietrza, ale zrobionem to zostało, aby zapewnić szkole wykłady profesorów uniwersyteckich, a obszerny i cieniasty ogród, rozciągający się w tyle szkolnego gmachu, źle wynagradza. W każdym razie, jest to ogromny postęp, że Francuzka dostała szkołę wyższą, gdzie na zasadach nowożytnej wiedzy porządnie się uczyć, porządnie oświecać może.

— Księżna de Luegues pojmując w wyższy sposób tradycyjne obowiązki arystokracji, zaprosiła Gounoda do zamku swego Dampierre, gdzie ugaszczala tej jesieni grono osób głównie muzycznych. Maestro przyjął gościnność książęcego domu i opera jego: *Sapho* postępuje w bardzo szczęśliwy sposób, wśród spokojnie miłych warunków życia, jakie księżna stara się wytworzyć mu. Jest ona sama muzyczką niepospolitą, przytem wykształconą i rozumną kobietą.

— Francya posiada obecnie bardzo liczny i stonkownie do literackich sił kobiecych w tym kraju zadziwiający zastęp pisarek scenicznych. Teatr Komedii Francuzkiej przedstawia obecnie sztukę wysłą z pod pióra kobiety, *Mademoiselle de Bizeaut*, co w niejednym z pisarzy męczyzu budzi uczucie zazdrości dla autorki, Simonne Arnaud. Druga sztuka tejsamej pisarki, *Joanna Grey*, ma

być przedstawiona tej zimy w teatrze Porte Saint Martin, i Sara Bernhardt ma w niej grać rolę tytułową. Teatr Ambigu przygotowuje również sztukę pani z wielkiego świata, kryjącej się pod pseudonimem „Rochebrune“. Teatr Gymnase odbywa próby wesołej komedii hr. de Martel, używającej pseudonimu „Gyz“. Repertoar teatru Vaudeville liczy kilka sztuk p. Danielowej Darc. Henrykowa Gréville dała również do tego teatru świeżo wykończoną komedię. Mme de Prebis oddała pod sąd Teatru Palais Royal, dramat czteroaktowy, a ukoronowana już kompozytorka muzyczna, która dostała, kilka lat temu, pierwszą nagrodę na konkursie imienia Rossini, za symfonią swoją, Augusta Holmes, ma wystawić w sali Château d'Eau wielki utwór liryczny.

— Francuzki znany literat i współpracownik *Rev. des deux mondes*, Gabryel d'Haussonville, zwiedzając w Waszyngtonie biuro ministra sekretarza stanu, zobaczył z podziwieniem wiele kobiet, i to nie w roli pomocnic na dyetach, ale jak go objaśniono, urzędniczek, z pensją stałą i odpowiednim jej stopniem. Pensya jednak nie przechodziła nigdy 5.000 franków, co właśnie było powodem zajęcia miejsc przez kobiety, gdyż w Ameryce, przy bardzo rozwiniętej czynności przemysłowej, mężczyzna nie chciał zajmować posady, tak mało wynagradzanej. Francuz znalazł niemniej jedną jeszcze rzecz, dla niego niezrozumiałą, a to że kobiety i mężczyźni pracowali wspólnie w jednych salach, co przecież nie zdawało się sprowadzać żadnego zamieszania. Odpowiedziano mu na to, że tu kobieta szanować się umie, więc uszanowaną być musi, i położenie to sprowadza też taki stosunek wzajemny, że mężczyzna znajdując się obok kobiety, niekoniecznie galantem być musi. Czy ten wnuk p. de Staël zrozumiał to? Zawsze przecież podziwienie jego ciężki to zarzut dla Francyi, która pod Sedanem i Paryżem, w Alzacy i Lotaryngii, drogo opłaciła lekkomyślność francuzkiego charakteru. Ma Francya przemysł, sztuk i nauki wysoko rozwinięte, ma bogactwa i niezmiernie zasoby w ludziach i ziemi swojej, brak jej tylko poważniejszych, szlachetniejszych życia ideałów i oto sztandar jej leży, zdeptany nogami zwycięzcy. Kto wie co by z nią było, gdyby nie naturalne mórz granice?

— W dniu 2 Sierpnia bieżącego roku, otworzoną została w Wiesbaden przez p. von Eynern, szkoła utrzymania domu „Haushaltungsschule“, gdzie uczennice-pensyonarki uczą się gotować, przyrządzać zapasy żywności, zakupywać jej przedmioty, oraz prać, prasować, szyc bieliznę, robić suknie; wreszcie do stołu dobrze nakryć, pokoje należyście sprzątnąć, kuchnię, piwnicę, spiżarnię i ogród warzywny w odpowiednim porządku utrzymać. Osoby, które w tym roku w Wiesbaden na kuracyi przebywały, z początkowania tej szkoły wróżą jej przyszłość bardzo pomyślną, jest też ona wiernem naśladowaniem dziesięć już lat istniejącego zakładu, który we Freiburgu pod przewodnictwem p. Kuenzer, dostatecznym powodzeniem się cieszy. Szkoła Wiesbadeńska mieści się w obszernej willi Dambachthal; roczna opłata pensjonatu jest 1.000 marek, a cena ta pokazuje, że to nie jest jednak szkoła służących, ale szkoła dla córek ludzi średniego stanu i średniej zamożności—szkoła gospodarstwa domowego dla pań nieposażnych, dla pańien, mających wyjść za ludzi, którzy na dom i rodzinę pracować muszą.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 7-my powieści pod tyt.: **Książęce gniazdo**.

TREŚĆ. II. Czy ja cię kocham.— III. Daremnie, (poezya). — Krol Jan-III Sobieski i jego rodzina, przez Maryana Dubieckiego. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Wystawa Sztuk Pięknych (Lwów). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Октября 1883 года.